

I nadeszły dni...

Autor: Bartosz Sokół



Bóg... Marzenie filozofów. Inspiracja artystów. Wymówka fanatyków. Od zawsze na zawsze tkwiący nieodparcie w ludzkiej świadomości. Wielu poświęciło życie, by dowieść Jego istnienia, inni spalili się, płonąć ogniem niewiary. W imię Boga ratowano. W imię Boga zabijano. W imię Boga karmiono i głodzono. Gdybyś spojrział na ludzkość z góry, zobaczyłbyś pokolenia układające się w potężny transparent z napisem: „Bóg poszukiwany!”. Zdążył być już wszystkim w dziejach ludzkiej myśli. Zdążył umrzeć u Nietzschego i zmartwychwstać jako nieosobowa idea w dziejach XX-wiecznej moralności. Chciałbym napisać, że byłem inny. Że nie szukałem. Że nie pragnąłem. Ale nie byłem. Szukałem. Pragnąłem.

Jestem młodym człowiekiem. Nie leżę na łożu śmierci, pisząc słowa, które czytasz. Nie jestem członkiem sekty, ani ofiarą religijnej propagandy. Urodziłem się w 1990 roku w chrześcijańskiej rodzinie. Bóg był zdecydowanie czymś więcej niż narodową tradycją. Wiara czymś więcej, niż pełnym wątpliwości, martwym przyzwyczajeniem. Dorastałem z silną świadomością Boga, któremu powinienem być posłuszny. Chodząc do kościoła, słuchając kazań, próbowałem odnaleźć w całej tej religijnej harmonii jakąś znajomo brzmiącą nutę. Jaką duchową melodię, która mogłaby zawładnąć moim sercem. Nie znalazłem. Bóg był Bogiem innych. Bogiem kazania. Bogiem wieczornej modlitwy i biblijnej historii z niebieskiej Biblii dla dzieci.

Jako młody chłopak kochałem grać w piłkę. Stała się moją pasją i radością codzienności. Jeśli miałem jakąś religię, to właśnie taką. Piłka w siatce była rodzajem duchowego uniesienia. Zwycięski krzyk drużyny - najpiękniejszym kazaniem, a śpiew kibiców na meczach - hymnem uwielbienia. Tylko na boisku czułem się naprawdę szczęśliwy. Pamiętam niedzielne wieczory: koledzy grali, a ja musiałem podążać smutnym, zmęczonym krokiem do kościoła, aby brać udział w czymś, co było dobre, ale nie tak dobre jak piłka.

W okresie gimnazjum nastąpiła eskalacja mojego buntu. Będąc lojalnym wobec rodziny, nie kwestionowałem otwarcie ich przekonań, ale w moim umyśle budowałem potężną warownię niewiary. Zbierałem cegłówki różnych „naukowych dowodów” i łączyłem to zaprawą filozofii. Byłem dumny z mojej twierdzy intelektu. Często myślałem z pobłażaniem o ludziach siedzących obok mnie w kościelnej ławce: „Gdybyście tylko wiedzieli to, co ja wiem...!”. Stworzyłem listę kilkudziesięciu błędów w Biblii. Wręczyłem tacie, nie wgłębiając się nawet w jego odpowiedzi. Byłem młodym zwycięzcą. Pokonałem kolosa religijnej ślepoty i średniowiecznego zabobonu.

I żyłem. Dzień za dniem. Mecz za meczem. Sukces za sukcesem. Porażka za porażką. Uczyłem się dobrze. Byłem lubiany i szanowany. Miałem wspaniałą rodzinę. Powinienem być spełniony. Nie byłem. Rozentuzjasmowany wzrok ludzi śpiewających „Jezus żyje, jestem wolny!”, zapalał w moim sercu ostrzegawczą lampkę. I niektóre kazania... Tak bardzo przepełnione niezrozumiałą pasją... Wiedziałem, że gdyby przyszło umrzeć za wiarę, zrobiliby to. Zwycięzca przestawał czuć się zwycięzcą. To oni nimi byli. Niosący pokój i radość. Kochający. Przebaczący. Ludzie innego rodzaju. Coraz więcej wątpliwości zaczęło rodzić się w moim umyśle. A co, jeśli...?

Żyłem pozbawionym znaczenia życiem. Byłem ziarenkiem piasku, które pewnego dnia

zabierze na zawsze fala śmierci. Nie miałem złudzeń. Byłem jedynie aktorem w roli, której nie zaplanowałem. Statystą w teatrze świata. Martwym za życia. Zamkniętym w twierdzy własnych wątpliwości.

I nadeszły dni, podczas których w skupieniu patrzyłem w gwiazdziste niebo, szepcząc: „Jeśli istniejesz, pragnę Cię...”. Pierwsze modlitwy wiary. Pierwsze kroki. Ze zdumieniem spostrzegłem siebie otwierającego Biblię i czytającego z prawdziwym pragnieniem poznania Boga! Jakże spójną wizję świata odnalazłem w tej starej, zakurzonej Księdze! Jakże wiele pytań znalazło swoją odpowiedź... Słowa kazań nadal uderzały w moje serce, wołając: „Jesteś grzesznikiem! Zgubionym bez Chrystusa!”. Byłem nim, byłem nim... „Zasługujesz na piekło!” Zasługiwałem... Momentem przełomu była chwila, w której uwierzyłem w Chrystusa rozpostartego na krzyżu...

Nie potrafię powiedzieć kiedy, ale stało się. Nagle cały świat zatrzymał się w swoim biegu, a ja patrzyłem w osłupieniu na krzyż. Drogocenna krew mieszała się z błotem. A On milczał, jak jagnię na rzeź prowadzone. Tłum przeklinał i szydził. A On milczał. Mogłem widzieć płaczące niebo. Mogłem widzieć ból Ojca. Mogłem widzieć ból Syna. Po raz pierwszy i ostatni w historii doskonała, pełna miłości relacja z Ojcem zostaje brutalnie przerwana przez grzech. Ojciec nie może patrzeć na splugawionego grzechem, obciążonego brudem ludzkości Syna. Odwraca swe oblicze. Zapada ciemność. W chwili największej agonii i fizycznego cierpienia Syn nie myśli o gwoździach i przenikającym wszystkim bólu. Woła: „Ojcze... Ojcze...! Dlaczego mnie porzuciłeś?” „Ojcze... Zawsze byliśmy razem... Wszystko, co kiedykolwiek uczyniłem, uczyniłem dla Ciebie. Wszystko, co Ty kiedykolwiek uczyniłeś, uczyniłeś dla mnie... Ojcze... Dlaczego mnie porzuciłeś...?” Alleluja! Albowiem Bóg tak umiłował mnie, zbuntowanego, pełnego grzechu i duchowej ślepoty, nastolatka, że oddał swojego jedyne Syna, aby Bartosz, który w niego uwierzy, nie zginął, ale miał życie wieczne! (J 3,16) Alleluja! Filozofowie, czy śniliście kiedyś o czymś takim? Czy przyszedłby wam na myśl krzyż? Poeci, czy zdołacie opisać taki rodzaj miłości?

Na pewnym młodzieżowym obozie zrozumiałem Golgotę. Płakałem jak małe dziecko, prosząc Boga o łaskę. Otrzymałem przebaczenie grzechów. Sprawiedliwość Chrystusa stała się moją sprawiedliwością. Moje życie zmieniło się radykalnie.

Powiesz: jesteś efektem religijnej manipulacji, jakiej dopuszczono się w dzieciństwie... Nie, nie jestem. Powiesz: potrzebowałeś emocjonalnego bezpieczeństwa, więc wmówiłeś sobie Boga. Nie, nie wmówiłem. Odnalazłem jedyny sens, jaki istnieje w pozbawionym sensu świecie. Odnalazłem Osobę. Pokochałem Osobę. Pokochałem Boga, który poniża się dostatecznie mocno, by zamieszkać we mnie. Pokochałem Króla, który z miłości do mnie rodzi się w żłobku i umiera na krzyżu. Pokochałem Sprawcę Życia, który rozerwał kajdany śmierci, zostawiając niedowiarkom pusty grób. Pokochałem Ojca, który wybiegł na moje spotkanie, kiedy wracałem z długiej podróży. Pokochałem Lekarza, przed którym każda choroba musi złożyć pokłon posłuszeństwa. Pokochałem Władcę Natury, który ucisza szalejące burze. Pokochałem Stwórcę Rzeczywistości, który chodzi po wodzie, omijając prawa fizyki, które sam stworzył. Pokochałem Architekta, który poruszył planety i zapalił gwiazdy. Pokochałem Przyjaciela, który odsłania przede mną swoje serce. Pokochałem kapiące łzy nad grobem Łazarza. Pokochałem płaczące serce nad marami młodzieńca z Nain. Pokochałem święty majestat, wypełniający niebo. Pokochałem ognisty gniew w świątyni Ojca. Pokochałem krwawy pot w ogrodzie Getsemane. Pokochałem niezwykłą odwagę na dziedzińcu Piłata. Pokochałem głębię miłości na krzyżu Golgoty. Tak, przyjacielu. Pokochałem Żywego Boga. Lekarza swoich oprawców. Sędziego swoich oskarżycieli.

Przyjaciela swoich nieprzyjaciół. Władcę swoich władców. Ojca swojej matki. Pokochałem Go!

Dzisiaj nie waham się stanąć na ulicy miasta, trzymając w dłoni wyśmiewaną Biblię i ogłaszać chwałę Króla Królów! Nawet gdyby nie zrobił dla mnie już nic więcej, zrobił wystarczająco dużo, bym oddał Mu całe swoje życie.

Od dziecka miałem poważne problemy z mową. Jąkałem się, nie mogąc często wykrztusić kilku słów. W szkole bałem się zgłaszać do odpowiedzi. Za wszelką cenę unikałem rozmów przez telefon. Nie pytałem na ulicy o godzinę. Byłem u psychologów, ale sposoby leczenia, jakie mi zalecili, były całkowicie nieskuteczne i nietrafione. Na zewnątrz wyglądałem na pewnego siebie, lecz moja wewnętrzna osobowość była zrujnowana. Gdy Bóg mnie zbawił, w moim sercu zapłonął ogień. Wołałem: „Panie...! Chcę mówić o Tobie... Chcę mówić o tym, co uczyniłeś w moim życiu!”. Nie mogłem. Moje usta były związane. Lęk, strach i wstyd paraliżowały moje pragnienia. Po pierwszym kazaniu, długo płakałem w poduszkę, żegnając marzenia i sny. Jedno wiedziałem na pewno: nigdy nie będę głosić Bożego Słowa. Zajmę się czymś innym. Chciałem zapomnieć o tym, co tkwiło głęboko na dnie serca. Nie mogłem. A gdy pomyślałem: Nie wspomnę o Nim i już nie przemówię w Jego imieniu, to stało się to w moim sercu jak ogień płonący, zamknięty w moich kościach. Mozoliłem się, by go znieść, lecz nie zdołałem (Jr 20,9).

Pewnego wieczoru Bóg przemówił do mnie: Przez jąkających się (...) przemówi do tego ludu (Iz 28,11). Na białej kartce napisałem ciemnymi, dużymi literami: „Jeśli moje jąkanie przyniesie Ci chwałę, pozwól mi jąkać się do końca życia!” Kartkę włożyłem do szuflady, a radość wypełniła moje serce. Jakiś czas później przeżyłem chrzest w Duchu Świętym. Napełniła mnie Boża Chwała i Obecność. Gdy stanąłem za kazalnicą po raz pierwszy od tamtej chwili, ku własnemu zaskoczeniu powiedziałem płynnie to, co zamierzałem przekazać. Gdy zszedłem z kazalnicy znów zacząłem się jąkać. I tak było przez długi czas. Gdy głosiłem Ewangelię, z moich ust spadały pęta, gdy tylko kończyłem - powracała niewola jąkania.

Przyzwyczailem się. Minał jakiś czas. Podczas wakacji w 2009 roku po kilku ulicznych ewangelizacjach podchodzili do mnie ludzie, mówiąc: „Jesteś świetnym oratorem!”. Słyszac te słowa, widziałem małego chłopca, który w podstawówce chowa się wstydliwie podczas lekcji, aby nie narazić się na konieczność wypowiedzi. Orator. Zakompleksiony, zawstydzony, jąkający się nastolatek... Bóg bierze to, co jest niczym, by zawstydzić to, co jest czymś! (1 Kor 1,28). Dzisiaj jestem zupełnie wolny. Zupełnie wolny...! Ludzie, którzy słyszą o mojej przeszłości, nie chcą w to uwierzyć. Nie musisz jechać do Afryki, by zobaczyć cud, zapraszam na kawę.

Dzisiaj moje życie koncentruje się wokół Boga, a największym skarbem, jaki posiadam, jest Jego Obecność. Jutrzejszego poranka mogę stracić wszystko, ale *któż oddzieli mnie od miłości Bożej, która jest w Jezusie Chrystusie?* Najpiękniejsze chwile swojego życia spędzam na kolanach, wsłuchując się w Jego głos. Pragnę zobaczyć Imię Jezusa wywyższone w tym pokoleniu, świecące jasnym blaskiem w ciemnościach dzisiejszych czasów. Król jest tego godzien! Pragnę zobaczyć powstający, przebudzony Kościół, pełny Bożej Obecności i Chwały. Król jest tego godzien! Marzę o przebudzeniu wśród młodych ludzi. O chwili, w której niebo uderzy w ziemię, a Bóg jeszcze raz uwielbi się wśród nas. Czasami, gdy przychodzą myśli o słabym i pozbawionym mocy Kościele, muszę biec, aby poszukać najbliższego lustra. Tam znajduję słabość i przyczynę stanu rzeczy.

Jeśli znasz Boga, wspomnij mnie czasem w swoich modlitwach. Jeśli nie znasz, ja wspomnę Ciebie. A to wszystko w jednym celu: Aby Chrystus uwielbił się w naszym ciele, czy to przez życie, czy przez śmierć! (Flp 1,20)